

— Dobrze nam tu gadać z wami, towarzysze — przemówił po chwilowym milczeniu Płużek — ale interes jest interesem. Nie możemy być ciężarem towarzyszowi Stanisławowi — spojrzał na Walczaka — miał w zeszłym tygodniu dwóch z Dąbrowy, teraz nas znowu... a i żyć na cudzej łasce nie chcemy, bo dobra jest pomoc, ale na krótką chwilę. Otóż, radzcie, jako tutejsi, gdzie szukać roboty, w której stronie?

Wszyscy z „Pochodni“ spojrzeli na Żaleckiego, który po krótkim namyśle, rzekł:

— Jutro... najdalej pojutrze, znajdę dla was, towarzysze, robotę. Może na razie nie będzie dla was, popłatna, ale...

— Byłe ręce o co zaczepić — przerwał mu Różga — już damy sobie radę, bo to żonę trzeba sprowadzić, dzieci...

— Oj, to to — westchnął Płużek — już ci nie zaznają tam biedy, pomogą towarzysze, ale jeśli chłopu cknąć się bez baby, cóż dopiero kobiecie?

Uśmiechnęli się wszyscy na tę praktykę życiową, prócz gości, a Żalecki zaczął serdecznym tonem:

— Wszystko to się zładzi... przyjadą żony, dzieci, tylko odwagi nie trzeba tracić.

— Ee, tej nam nie brak — uśmiechnął się Różga — tylko, że chociaż swój kraj, ale jakoś nieswojsko tutaj.

— Gadanie i tyle — rzekł Płużek — jesteśmy wśród swoich, Polaków, zginąć nam nie dadzą... a że wam tu nieswojsko, wiadome rzeczy, tak jest w każdym nieznanym mieście, zanim się człowiek rozejrzy.

— Prawdę mówicie — uśmiechnął się Żalecki — w Polsce jesteście, między swoimi — na te słowa Waldman i Schweiger spojrzeli z niemym wyrzutem na niego, czego on nawet nie zauważył i prawił dalej — dzisiaj zabieram was, towarzyszu Płużku, do siebie na noc, a towarzyszu Tomasz prześpi się w tym pokoju.

— Ho, ho — zaśmiał się Tomasz, gładząc wąsy — jeszcze w tak uczonym pokoju nie spałem.

— Dlaczego tak mówicie? — spytał Schweiger.

— Bo tyle gazet... książek...

W tym czasie Waldman wstał, skinął na Żaleckiego i obydwa udali się w oddalony róg pokoju.

— Ja nie mogę teraz, w nocy, wystarać się o siennik, poduszkę, nakrycie, chyba, że prześpi się na podłodze — szepnął Waldman.

— Trzeba się koniecznie wystarać... on nasz gość.

— Dlaczego Walczak nie poprowadził ich do pepeesowców? To ich ludzie.

— Wstyd się... potrzebują pomocy, to dosyć. Helena, która ich obserwowała, zbliżyła się, pytając:

— Mówicie o noclegu?

— Tak jest... i kolega Waldman oświadcza, że nie może wystarać się o posłanie.

— Hm... poduszkę dałabym, ale siennik, kołdrę? skąd tu wziąć?

— Niech chyba przenocuje u Walczaka — szepnął Żalecki.

— U niego? Ależ on miał ich dosyć długo i niema pieniędzy... nie można znów narzucać jednemu tak wiele — stanęła Helena w jego obronie.

— Więc co zrobić?

— Ja was pogodzę — uśmiechnął się Waldman — pożyczcie Walczakowi pieniądze.

— Cóż to zmienia? — oburzyła się Helena — zawsze płaci.

— A gdyby mu dać z naszej kasy? — namyślał się Żalecki.

— Ja się sprzeciwiam — powiedział stanowczym głosem Waldman — to jego prywatna przyjemność, a to pieniądze partyjne.

— Nie przyjmie — westchnęła zakłopotana Helena — wiecie co? Zróbmy składkę na poczekaniu i wy przyjmiecie, i on musi przyjąć.

— Dobrze... zatem składka!

— Ja nie mam przy sobie pieniędzy — usprawiedliwiał się Waldman.

Żalecki spojrział z niechęcią na niego i rzekł:

— Nie masz pieniędzy, to nie dasz... składam w ręce wasze dwie korony, koleżanko Borwicz.

— I ja daję dwie... jeszcze Olga i kolega Schweiger.

Żalecki i Waldman zbliżyli się do gości i wszczęli rozmowę, a Helena skinęła na Olę, zawiadamiając ją o składce.

— Dałabym więcej, lecz mam tylko trzy korony... a ty nie masz do jutra.

— Dałam ostatnie.

Zawezwany Schweiger przyszedł zwolna, trochę zgarbiony, nierównym krokiem, jak zwykle.

— O co idzie? — spytał.

— Składka na utrzymanie robotników.

— Kto dał?

— Wszyscy, prócz kolegi Waldmana, który nie miał przy sobie pieniędzy — powiedziała Helena z mimowolną goryczą.

— Czy tylko dla tej przyczyny? — spojrzał na nią badawczo.

— Tak powiedział.

— To ja mówię koleżance, że on nie dał, bo oni są P. P. S., ale to niesprawiedliwie, oni dla mnie są tylko biedni wygnańcy. Ja mało mam, ale co mogę — zaczął starannie przeszukiwać kieszenie i kieszonki i, wręczając pięćdziesiąt halerzy, westchnął — to mój jutrzejszy obiad.

Helena żałowała, że wciągnęła go do składki i szepnęła:

— Mogę wam jutro pożyczyć, kolego.

On spojrział na nią, uśmiechnął się smutnie:

— Schweiger, koleżanko, nie pożyczaj, on nie wie, czy będzie mógł oddać — i skinąwszy głową, poszedł na swe miejsce.

Helena przystąpiła do stołu, przy którym wszyscy siedzieli i zarumieniona zaczęła:



Olga i Helena szły razem, mieszkały bowiem w jednej stronie.

— Kolega Walczak poznał nas z dwoma dzielnymi towarzyszami, chcielibyśmy ich wszyscy ugościć jak najlepiej, ale jest ich tylko dwóch, a nas pięć osób, więc abyśmy wszyscy przyjęli udział w ugoszczeniu, każdy z nas złożył swoją część. Koledzy Żalecki i Walczak przenocują towarzyszów, bo tu niema pościeli, a ugościcie ich w imieniu nas wszystkich.

Rozdzieliła pieniądze zebrane, część wręczyła Żaleckiemu, a gdy Walczak się wzdragał, wciskając mu w rękę, szepnęła zarumieniona.

— Musicie... tak uchwalono.

Wstał Płużek z krzesła i trąc ręce, aż w stawach trzeszczało, mówił rozczulony aż do łez

— Dziękuję wam za serce... za to dobre słowo. Nie sztuka dać, ale sztuka tak dać, aby nie bolało... i owszem cieszyło, że są dobrzy ludzie na świecie.

— I ja to mówię — wstał Różga — i daj Bóg, że się wam wywdzięczymy.

— Ależ towarzysze! — zawołał Żalecki z przymuszonym śmiechem, bo był również rozczulony — u nas niema zwyczaju dziękowania, to obowiązek wykły. Siadajcie, towarzysze, pogadamy.

Rozmowa się jednak nie kleiła, mimo usiłowań podtrzymania jej. Zaczęli się schodzić inni członkowie „Pochodni“, przypatrując się ciekawie dwóm robotnikom, co tych kępowało i niepokoiło.

Wyszli.

Olga i Helena szły razem, mieszkały bowiem w jednej stronie. Jakiś czas milczały, silny wiatr bowiem, miotając śniegiem, huczał po ulicach, gwizdał na przecznicach i węglach kamienic i przeskadzał rozmowę. Dopiero, gdy weszły w zaciszną ulicę, spytała Helena:

— Czy chcesz, abym ci powiedziała, co myślisz?

— Nie wątpię, że wiesz... tam jest robota!

— Wielka i prawdziwa — westchnęła Helena.

VII.

Olga przez dwa dni prawie nie wychodziła ze swego pokoju, ku zdziwieniu i zaniepokojeniu swej stryjenki.

Opadły ją wątpliwości, czy idzie drogą prawdziwą; czy hasła „Pochodni“ odpowiadają jej pragnieniom i dążeniom; czy ziszczą one pokładane w nich nadzieje uszczęśliwienia pracującej i upośledzonej klasy robotniczej; czy wypełnią jej duszę tak po brzegi, że na inne pragnienia nie będzie już miejsca?

Postanowiła zdać sobie jasno sprawę z nurtujących w niej niepokojów, i obawiając się postronnych wpływów, nie chodziła na wykłady, nie chciała spotkać kolegów.

Naprawdę, to jej marzenia, myśli, ona cała rwała się do roboty w Królestwie, gdy usłyszała proste a tak wymowne opowiadanie robotników o agitatorach i pismach socjalnych, lecz po zastanowieniu zrodziła się w niej obawa, że ta nagła chęć może mieć źródło nie tyle w samem pragnieniu służenia sprawie, ile raczej oddziaływa na nią urok nowości, tajemniczość i niebezpieczeństwo, związane z agitacją, nadzieja, że tam bez wielkiego wysiłku jej słowa znajdą oddźwięk, a jej działanie nie zaważy na szali.

Jeśli istotnie takie pobudki nią kierują, to ona jest marną, próżną osobą; niezdolną do pracy produkcyjnej, pasorzytem stronnictwa, przy którego pomocy chce zadowolić swoje egoistyczne ambicje.

Tam chce pracować i pragnie tego. Dlaczegoż tu, przy pierwszych próbach, zraziła się, tu jest pole do wypróbowania sił i zdolności. To dowód lenistwa, braku wytrwałości. To niemoc ducha, upadającego przy pierwszej spotkanej przeszkodzie.

Postanowiła być silną i wytrwałą, a gdy tu doprowadzi do rezultatu, wówczas, bogata nabytym doświadczeniem, pojedzie do Królestwa.

Zresztą wyjazd w tych czasach byłby połączony z różnemi przykrościami. Musiałaby zerwać nawiązane koleżeństwo z Heleną, z „Pochodnią“, ze Żaleckim i innymi. Wy tłumaczyć się przed ojcem, dlaczego przerywa rozpoczęte studia i wyjeżdża do Warszawy. Wprawdzie mieszka tam siostra cioteczna jej matki, mogłaby upozorować swój wyjazd chęcią poznania rodziny matki, ale jak tu pisać o tem ojcu, gdy będąc w Petersburgu, odrzuciła propozycję zamieszkania czas jakiś u ciotki w Warszawie — nie, to byłoby nielogicznym. Wreszcie i przed stryjostwem trzeba by się tłumaczyć, usprawiedliwiać...

(Ciąg dalszy nastąpi).